All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.

PAMIĘTAJ, ABYŚ DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ. III. P. B.

Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 2go WRZEŚNIA 1897 ROKU. Nr. 35.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 2 Września, Stefana kr. Piątek 3 Września, Manswet. Sobota 4 Września, Rozalii. Niedziela 5 Września, Wawrzyńca. Poniedziałek 6 Września, Magnusa. Wtorek 7 Września, Reginy. Sroda 8 Września, Narodz. P. M.

Na Niedzielę XIII. po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukasza w rozdziale X VII.

Onego czasu: Gdy szedł Jezus do Jeruzalem, przechodził środkiem Samaryi i Galilei. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżeli Mu dziesięciu mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka. I podnieśli głos mówiąc; Jezusie, Nauczycielu, zmiłuj się nad nami! Których, gdy ujrzał, rzekł: Idźcie, okażcie się Kapłanom. I stało się, i gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich, gdy obaczył, że był uzdrowion: wrócił się, głosem wielkim chwaląc Boga: i padł na oblicze u nóg Jego, dziękując: a ten był Samarytanin. A Jezus odpowiedziawszy rzekł: Ażaliż nie dziesięciu jest oczyszczonych? A dziewięciu kędy jest? Nie jest znaleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, tylko ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań! idź, bo wiara twoja ciebie uzdrowiła.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Daleko od Ojczyzny.

POWIEŚĆ.

Ciąg dalszy.

II.

Kapitan Bitens był dzielnym marynarzem, doskonale umiał utrzymać w posłuszeństwie powierzonych sobie przestępców, wysłanych za karę na jednę z odległych wysp oceanu Spokojnego. Wiedział, jak sobie przyswoić ludzi wyjętych z pod prawa i zmusić do pracy, zyskał nawet ich zupełne zaufanie, lecz nie miał wyobrażenia, jak obchodzić się z chorą dziewczynką. Ocalona przysparzała mu kłopotu nie mało, a jednak zajmował się nią z serdecznem uczuciem; przypominała mu ona własną jego córkę, którą dwa lata temu złożył w grobie wraz z żoną. I kapitan też czuł się osieroconym, bo najstarszego czternastoletniego syna odwiózł, zaraz po śmierci żony, na naukę do Europy; sierotka więc nabawiając kłopotu, rozjaśniała mu życie. Rozmyślał, co dalej z nią robić.

— Cóż robić? — powtarzał sobie bezustannie, a nadomiar jego troski, dziewczynka, przyszedłszy do przytomności, nie umiała dać żadnych wyjaśnień. Mówiła chwilami dużo, lecz mowy jej nikt nie rozumiał. Nie mógł nawet dowiedzieć się na pewno, ile ma lat, a tem mniej zkąd pochodzi, do jakiego należy narodu. Nazywano ją Mary, bo w wymienionem przez dziewczątko imieniu, najłatwiej było te dwie zgłoski rozróżnić.

Myśl o tym małym rozbitku zajmowała gorąco kapitana, chodziła za nim wszędzie; skoro tylko wrócił do swego domku, ustrojonego zielenią wśród skalistej wyspy, spie-

szył zaraz do pokoiku małej i spoglądał na spoczywającą lub przysłuchiwał się, czy nie wypowie jakiego zrozumiałego wyrazu.

Lecz dziecię spało cicho a gdy otworzyło oczy, zdawało się nie rozumieć, co się w koło niego dzieje. Bitens umieścił sierotkę w pokoju niegdyś swej żony i córki, tem więcej przypominała mu drogie istoty. Na widok małej serce marynarza topniało, jak wosk na słońcu.

Oglądał kilkakrotnie torebkę, powierzoną mu przez umierającą; torebka była zamknięta, sam nie wiedział, czy powinien ją był zostawić nietkniętą i oddać w przyszłości sierotce, czy też otworzyć. W tej niepewności wezwał rady ojca duchownego, który czuwał nad duszą skazanych przez prawo ludzkie przestępców.

Nie bez trudu prysnął silny zameczek, z torebki wysypało się kilkanaście sztuk złota w monecie francuzkiej i angielskiej, a wreszcie ukazał się spory zwitek papierów. Jeden z nich gruby, opatrzony pieczęcią, Bitens rozwinął i próbował czytać, napróżno jednak; głoski były mu znane, każdą mógł nazwać, złożyć jednak z nich nie umiał ani jednego zrozumiałego wyrazu. Podsunął papier kapelanowi, lecz i temu nie lepiej się udało.

— Otóż ta torebka tyle nas objaśniła, co i chora, — rzekł Bitens.

Wtem przez okno doszło ich głośne westchnienie dziecięcia i jakby okrzyk zdziwienia.

Podążył zaraz kapitan do pokoiku.

Kapitan pochylił się nad dzieciną, która po długim śnie odzyskiwała siły. Twarzyczka z lekka zarumieniona nie miała już woskowej barwy; błękitne, szeroko otwarte oczy patrzyły ze zdziwieniem dokoła. Na widok obcych, twarzyczka dzieweczki wykrzywiła się boleśnie.

Spostrzegła twarze nieznane, ogorzałe, przemawiające niezrozumiałemi dźwiękami; — zaczęła więc płakać a na wszelkie pytania odpowiadała tylko łkaniem.

— Nie trzeba jej draźnić — rzekł kapitan — dziecię jest osłabione, a chciałbym je wrócić do życia; dodał z westchnieniem. I obadwaj z kapelanem zajęli się uspokojeniem małej, stosując wszelkie używane w takich razach środki.

Dziecię wkrótce na posłanie opadło, usteczka skrzywiły się do płaczu, lecz wycieńczone ciało nie miało dość siły na łzy ani uśmiechy.

Tymczasem po kilku godzinach dziecię wpadło znów w gorączkę, w której wymawiało ciągle niezrozumiałe dla otaczających wyrazy.

Kapitan z kapelanem zmieniali się w czuwaniu nad małą nieznajomą; Mary jednak słabe dawała oznaki życia. Raz, gdy kapitanowi zdawało się, że gorączka się zmniejsza i stał pochylony nad łóżeczkiem, uszu jego doleciał dźwięk pieśni, którą ktoś, tuż pod domkiem zanucił....

Twarz Bitensa rozjaśniła się.

— To on wraca, to on, ach, jak to dobrze, że się znów zjawił, szepnął do siebie i zwrócił się do wyjścia, znać na przywitanie oczekiwanego.

Wtem dźwięczniejszy jakiś wyraz pieśni wpadł przez otwarte okno, — Mary drgnęła, siadła na łóżeczku i krzyknęła przeraźliwie. — Otwarte oczęta spojrzały błędnie dokoła. — Zdawało się, że w tym jęku życie jej wraz z usłyszaną uleciało pieśnią.

Bitens porwał się za głowę, wybiegł przed dom i spojrzał dokoła.

— Gdzie Polly? On był tutaj? — zapytał nadchodzącego Uerego.

— I mnie się tak zdawało, bo słyszałem jednę z jego pieśni, której nikt inny śpiewać nie umiał.

— Szukać mi go natychmiast! — krzyknął kapitan.

Uery spełnił rozkaz; wybiegła nawet i

Katy, którą także dźwięk pieśni z domu wywabił. Próżne jednak były poszukiwania: śpiewającego ani około domku, ani na wyspie nie znaleziono.

— Nie mógł przecież w ziemię się zapaść! — mówił zniecierpliwiony kapitan.

— Ale mógł odpłynąć, jak przypłynął, — inaczej nie dostałby się do nas; — rzekł Uery.

— Okręt żaden nie przepływa w pobliżu, — pomyślał kapitan.

— Może przypłynął z jakiej niezamieszkałej wysepki — poddał domysł Uery, — do niego to wszystko podobne!

Kapitan wzruszył tylko ramionami i rzekł, jakby ostatniego chwytając się środka:

— Bierz łódkę i szukaj.

Uery nie dał sobie dwa razy powtarzać; wkrótce maleńka łódź, zwana pospolicie łupiną, odbijała od brzegu.

Na morzu był spokój.

Od tej strony, gdzie wyspy nic nie zasłaniało, nigdzie jak sięgnąć okiem nie widać było okrętu, nawet ani łodzi. Z innych stron otoczona była lasem skalistych wysepek; niektóre tylko miały trochę dziko rosnącej trawy lub karłowate drzewa, inne sterczały smutno, dla tego też nie zaciekawiały nikogo i przez ludność karnej kolonii nie były prawie znane. Nie zniechęcało to jednak Uerego; wraz z zabranym towarzyszem przejeżdżał od jednej do drugiej, lecz nigdzie nie było śladu ludzkiego pobytu.

Po całodniowej wycieczce, żywiąc się na wędkę złowioną i upieczoną na wysepkach rybą, zgłodzony i znużony miał już powracać, gdy wreszcie wśród grupy sterczących skał ujrzał oddzieloną od nich przesmykami jakąś wysepkę. Nie ominął jej. Przybiwszy, znalazł wśród mało dostępnego brzegu ukrytą prześliczną ziemię, której roślinność nęciła bogactwem kwiatów i najpyszniejszych owoców. Z przyjemnością, choć nie bez trudu, dostał się Uery wraz z towarzyszem na tę wyspę. Wyglądała ona jak najwspanialszy ogród, wśród którego na niewielkim kawałku falowała roślina podobna do trawy; zdawało się Ueremu, że ją już widział kiedyś.... może w Europie.

— Acha! tu musi chyba mieszkać ten dziwak, zawołał uradowany.

Po niedługiem szukaniu, znalazł, wśród zagłębienia sterczącej jak baszta skały, ślady ludzkiego mieszkania, rzuconą matę i dzban niezgrabny do wody. Oczy Uerego zabłysły radością, — zerwał garść owej trawy i odpłynął na kolonią, od której jak się okazało wysepka ta zaledwie o kilkanaście kilometrów była oddaloną, — lecz tak ukrytą wśród wysp skalistych, że trudno ją było na razie znaleść.

— Nigdzie go niema, lecz oto wszystko, cośmy znaleźli, rzekł Uery, składając przed kapitanem swą zieloną zdobycz i opowiadając o piękności wyspy.

Kapitan przypatrzył się rzekomej trawie i rzekł:

— To pszenica, — europejska pszenica!

— I mnie się też zdawało, że ja to kiedyś, może w dzieciństwie jeszcze, widziałem; — rzekł Uery westchnąwszy.

— Tak, tak niechybnie, tam musiał być Polly, — on tak zawsze opowiadał o całych łanach kołyszącej się pszenicy; mówił kapitan. — Ale on, gdzie jest? czemu do nas nie wraca? Biedny nieszczęśliwy dziwak! — dodał na pół do siebie, głośno zaś mówił:

— Uery, pojadę z tobą i obejrzę wyspę. Zabierz trochę żywności, potem ci ją dowozić będą; — pozostaniesz tam i dopilnujesz powrotu tego nieszczęśliwego. C.d.n.

Pewien jegomość, znany powszechnie z roztargnienia niepospolitego, był zaproszony na obiad do swego przyjaciela. Idąc zaś na obiad miał głowę zaprzątniętą chorobą swej żony i zdawało mu się, że jest na obiedzie u siebie. A ponieważ obiad nie bardzo był wyśmienity, wstaje tedy przy końcu i powiada:

— Przepraszam państwa za ten obiad gałgański, bo moja żona bardzo chora.

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Ciąg dalszy.

AKT III.

Scena Pierwsza.

Pokój Eustachiusza. Eustachiusz.

Eustachiusz (*chodząc tam i napowrót*). Dzień dzisiejszy był dla mnie dniem szczęścia i honorów. Uratowałem honor ojczyzny.... Rzymianie otoczyli mnie czcią i zaszczytami a poklaskom nie było końca. Jednak dusza moja jest pełniejszą boleści, aniżeli kiedykolwiekbądź; pamięć na utraconą żonę i dzieci, ściska nową boleścią moje serce.... Owi dwaj oficerowie, którzy mi dzisiaj tak bohatersko życie uratowali, przypomnieli mi moich dwóch zgubionych synów; ach! i oni byliby w tym samym rozkwicie życia.... i oni byliby takimi bohaterami.... Jakby to cieszyła się żona z mojego zwycięztwa i z tych oddanych mi honorów!.... (*chodząc niecierpliwie*). Eh! na co mi przypominać sobie dawne moje nieszczęścia!.... zginęli na zawsze i więcej już ich oglądać nie będę.... Jaki ja dziecinny! Czemu mam się smucić, kiedy smutek mi ich nie powróci?... Najlepiej zdać się na wolę dobrotliwego Boga.....Jeżeli zginęli, to już ich nie obaczę; a jeżeli cudem jakim Opatrzności Boskiej żyją, to sama Opatrzność Boska z pewnością mnie pocieszy i mi ich powróci. Więc na cóż mi się smucić!

Scena Druga.

Eustachiusz, Agapiusz, Teopist i Teopista.

Eustachiusz. Serdecznie was witam, moi towarzysze broni! Kim jest owa niewiasta, którą przyprowadziliście? — Niewolnicą?

Agapiusz. Ta uboga niewiasta prosi ciebie pokornie o posłuchanie, bo ma coś ważnego do opowiedzenia. Daj jej panie posłuchanie, a my podczas tego wyjdziemy do poczekalni (*obaj odchodzą*).

Scena Trzecia.

Eustachiusz i Teopista.

Teopista (*osłupiona wpatruje się w Eustachiusza*). Boże, to mój mąż!

Eustachiusz. Co mówisz niewiasto? Czyś straciła rozum?

Teopista. Eustachiuszu! To mnie już nie znasz? Jam twoja żona Teopista.

Eustachiusz (*oburzony*). Co za zuchwałość! Ty niewolnico masz być moją żoną Teopistą?

Teopista. Tak jestem twoją żoną. Na dowód tego wyjawię ci tajemnice mnie tylko i tobie wiadome. Wojsko rzymskie nazywa cię Placydem, ale imię twoje, którem cię mianują chrześcianie, otrzymane na chrzcie św., jest Eustachiusz. Przypomnij sobie św. krzyż jasny, pomiędzy rogami jelenia, przez ciebie widziany; ów sen, w którym mi się Chrystus objawił; owego pobożnego biskupa Jana, który nas z naszymi dwoma małymi synkami ochrzcił wśród nocy. Przywiedź sobie na pamięć owe rozliczne nieszczęścia, jakie nas spotkały; przypomnij sobie, jak nasz inwentarz niszczał, pola pustoszały, mieszkanie w ruinę się zamieniło a potem od rozbójników zrabowanem zostało. Przypomnij sobie smutną naszą ucieczkę i ową okropną chwilę, gdy mnie od ciebie i od dzieci odłączono i zostawiono na okręcie. Eustachiuszu! Spytaj się o najdrobniejsze szczegóły tych zdarzeń, a opowiem ci wszystko. Przypatrz się mnie dobrze, a poznasz mnie, chociaż już znikła dawna moja uroda i chociaż jestem przyodziana odzieżą niewolnicy.

Eustachiusz. Tak, tyś jest Teopista żona moja! (*rzuca się jej z łzami w objęcia*)...

Tak pięknego dnia, takiej pociechy nie spodziewałem się doczekać. Ale radość moja jeszcze większąby była, gdyby się synowie znaleźli; ale tego pewnie się nie doczekam.

TEOPISTA. I synów twoich będziesz widział — jeszcze dzisiaj będziesz ich widział.

EUSTACHIUSZ. Nie obudzaj we mnie nadziei, która nigdy się nie spełni!

TEOPISTA (*biegnie do drzwi, otwiera je i woła*): Proszę, wejdźcie szlachetni rycerze, dowódzca żąda was!

Scena Czwarta.

Ci sami. AGAPIUSZ i TEOPIST.

TEOPISTA. Patrz Eustachiuszu, oto ci dwaj młodzi oficerowie, których dzisiaj obdarzyłeś laurowymi wieńcami, są twoi synowie; może godzinę temu, jak się obaj poznali. Ten z czarnymi włosami jest Agapiusz, którego ci lew porwał; ten zaś blondyn jest Teopist, którego wilk uniósł z sobą.

EUSTACHIUSZ. Nie, ja temu nie mogę wierzyć. Jakżeż mogli ujść śmierci w paszczach dzikich zwierząt?

TEOPISTA. Ależ przypatrz im się tylko dobrze! — Patrz jak wiernym twoim obrazem jest Agapiusz! — A Teopist jak bardzo jest podobien matce, kiedy jeszcze była w kwiecie wieku! — Powiedzcie sami, wy synowie, czy tak nie jest?

AGAPIUSZ. Z zdumieniem słyszę, co ta niewolnica mówi. Tyś jest, waleczny dowódzco, rzeczywistym moim ojcem. Lew mnie rzeczywiście porwał, tak jak ta niewolnica mówiła.

TEOPIST. A mnie uniósł rzeczywiście drapieżny wilk z sobą, zanim zdołałeś przeprawić się do mnie przez rzekę.

EUSTACHIUSZ. Boże! jak miłosierny jesteś i jak przedziwny w rozporządzeniach twoich!.... (*rzuca się w objęcia*). Najukochańsi moi synowie!.... Boże, Boże... odchodzę od zmysłów z radości (*wznosząc ręce do nieba*). Boże Wielki, wszechmocny, cudowny, jak to się stało, że dzieci moje uratowane, i sprawiłeś, że je odzyskałem! (*Teopista cofając się w tył, płacze z radości*).

AGAPIUSZ. A jak szczęśliwymi jesteśmy my! że cię znowu mamy i ojcem nazwać możemy!

TEOPIST. I to ojcem, z którego dotychczas dumnymi byliśmy!

EUSTACHIUSZ. Macież tylko, kochani synowie, łzy radości i uściśnienia dla ojca? Nie powiadaż wam serce, że jeszcze inny równie słodki macie obowiązek? Jakże! to nawet nie wspominacie o waszej matce? Nie kochacież jej już więcej?.... Cóż to! Zadziwia was moja mowa? Czy już nie przypominacie sobie waszej kochanej matki, jak was pielęgnowała, jak was czule kochała? Ty Agapiuszu, zapomniałeś już, jak cię na ręku niosła, gdyś się zmęczył wśród drogi?.... Ty Teopiście, nie pamiętasz, jak cię matka pielęgnowała dzień i noc, kiedyś zachorował na okręcie? Czy teraz dla tego, że jest ubogą i wzgardzoną niewolnicą, wstydzicie się jej?

TEOPIST (*przerażony*). Więc matka moja niewolnicą? I tyś ojcze jej jeszcze nie uwolnił! (*chwytając za rękojeść, przystępuje do Eustachiusza i woła gorączkowo*): Ojcze, powiedz, gdzież jest ona, gdzie się znajduje a szukać jej nie przestaniemy; tego miecza użyję — ostatnią kroplę krwi poświęcę, aby ją uwolnić.

AGAPIUSZ (*dobywając miecza, uniesiony najwyższem oburzeniem, mówi*): Ojcze najukochańszy, gdzie jest on niegodziwy murzyn, który ją porwał i który tylu jej cierpień był przyczyną? Powiedz ojcze, a pójdę i tym oto mieczem wytoczę krew z jego ciała — porąbię na kawałki jego pomocników — dom i cały jego dobytek zrównam z ziemią — a matkę moją uwolnię.

EUSTACHIUSZ. Synu, tak być okrutnym Jezus zakazuje. Wolno ci bronić matkę — wolno w obronie matki dobyć i mie-

cza, ale niszczyć majątek, wszystko burzyć, puszczać wodze zemście, rąbać mieczem na kawałki niewinnych pomocników, nie wolno ci... Zresztą, schowaj ten miecz do pochwy! Ja co tylko znalazłem waszą matkę a moją ukochaną małżonkę.... Tam oto ona stoi (*wskazując palcem na Teopistę*).

AGAPIUSZ (*chwytając się oburącz za głowę*). To nasza matka!

TEOPIST (*mocno zdziwiony i zmieszany*). Czyż możebne?

TEOPISTA. Tak, ja jestem waszą matką; pójdźcie, niech was uściskam! (*rzucając się w objęcia*.... Bóg Najdobrotliwszy dziwnie nas tutaj wszystkich zgromadził — (*mocno płacząc z radości*). Niechaj mu za to będą tysiączne dzięki (*przyklękując z oczami wzniesionemi do nieba*).

EUSTACHIUSZ. Ja palę się z ciekawości, jak tobie kochana Teopisto poszło, od onej chwili, kiedy cię murzyn porwał.

TEOPISTA. Ów bogaty murzyn, który mnie tak nielitościwie od was odłączył, chciał mnie pojąć za żonę i obiecał mi wszystkie bogactwa swoje i wszelkie szczęście, ale kiedym ze wzgardą odrzuciła wszystkie jego obietnice i kiedym z oburzeniem odepchnęła ofiarowaną mi jego rękę, dał mi trzy dni do namysłu; ja w tych trzech dniach modliłam się bezustannie do Boga o ratunek. I oto! zanim upłynęły owe trzy dni dotknęła go ręka sprawiedliwości — bo umarł. Ale jeszcze dla tego nie byłam całkowicie uratowaną. Po naszem wydostaniu się na ląd stały, załoga okrętu porwała mnie i zaprowadziła na rynek, gdzie mnie sprzedano pewnemu bogatemu panu, który tutaj w sąsiedztwie mieszka. Ale żona tego pana była chrześcianką i bardzo mnie polubiła — to też dobrze mi się przy niej powodziło. Byłam tylko pozornie niewolnicą, ale w rzeczywistości byłam jej przyjaciółką i nauczycielką ich dzieci chrześciańskich.

EUSTACHIUSZ. Bogu dzięki, że cię od wzgardy i cierpień uwolnił!.... A teraz Agapiuszu, opowiedz ty twoją historyę.

AGAPIUSZ. Jakim ja sposobem byłem lwu wydarty, niewiem. Wiem tylko, że kiedy przyszedłem do przytomności, leżałem w ubogiej wiejskiej izbie, i otaczało mnie wiele ludzi. Tym ludziom musiałem koniecznie opowiedzieć, kim ja jestem, zkąd pochodzę, i mówili mi, że ludzie rąbiący w lesie drzewo, kiedy mnie ujrzeli w paszczy lwa, rzucili się na zwierza z siekierami i wyrwali mnie z paszczy jego. Uratowany od śmierci wzrosłem między tymi ludźmi, którzy wszyscy byli chrześcianami, wyuczyłem się wszystkich robót wiejskich i byłem bardzo lubiany w całej okolicy.... Gdy nagle przyszedł rozkaz od cesarza, aby gmina jednego dostawiła młodzieńca do wojska, a nikt z mieszkańców nie chciał się dobrowolnie zaciągnąć w szeregi, ja, chcąc ludziom, którzy mi życie uratowali i tyle dobrego mi wyświadczyli, wywdzięczyć się, zgłosiłem się do posłańca cesarskiego z oświadczeniem, że chcę być żołnierzem.

EUSTACHIUSZ. Teraz na ciebie Teopiście przyszła kolej; opowiadaj jak ci poszło!

TEOPIST. Zdarzenia życia mojego, są zupełnie takie same, jak Agapiusza. Dwóch pasterzy ujrzało wilka, który mnie unosił; puścili więc dwa okrutne psy na zwierza, który mnie wypuścił z paszczy w chwili, kiedy go psy dopadły, i zaczął się źreć z psami. Psy wilka poszarpały na sztuki, a ja, kiedy leżąc na ziemi przyszedłem do przytomności, widziałem, jak owe psy przewracały mnie na wszystkie strony i lizały moje rany. Potem jeden z pasterzy przyszedł i wziął mnie na ramię i zaniósł do domu, zatrzymał u siebie i wychował mnie, a pewien ksiądz, który mieszkał u owego pasterza, udzielał mi lekcyi katechizmu, czytania, pisania itd. Kiedym dorósł do lat, zdarzyło się, że posłańcy cesarscy rekrutowali żołnierzy przez losowanie; los padł na

syna mojego przybranego ojca. Wtedy żal mi się zrobiło młodzieńca i ojca jego i odezwałem się do komisarza cesarskiego: "Mój ojciec był żołnierzem i mnie coś ciągnie do wojska; zostaw więc panie tego młodzieńca a weźmij lepiej mnie z sobą!" Komisarz przychylił się do mej prośby. Służę w wojsku już dziesięć lat, dobiwszy się stopnia oficera.

TEOPISTA. Dziwne są Boskie zrządzenia. Ktoby z nas pomyślał, że się kiedyś wszyscy będziemy widzieli!

EUSTACHIUSZ (*wznosi ręce do nieba i woła*): Wszyscy bojący się Boga, pójdźcie, słuchajcie i patrzcie, jak wielkie rzeczy Bóg uczynił na mnie, na mojej lubej małżonce i na dzieciach kochanych!

Ciąg dalszy nastąpi.

MĘCZENNICY CHIŃSCY.

Przez **ks. A. W.**

I.

Był to wieczór. Głęboka cisza zaległa wioskę Tonkinu Vin–Fri, bo mieszkańcy jej prawie wszyscy udali się na spoczynek. Tylko wycie tygrysa i szakala wychodzących za łupem, rozlegało się z gór, a węże i gady syczące pełzały tu i owdzie po wysokiej trawie, nawet listków palmy kokosowej nie poruszał lekki powiew. W jednym domku tylko licho oświeconym lampką, której światła z dworu spostrzedz nie było można, znajdowało się kilkoro osób, co się jeszcze na spoczynek nie udały. W tyle mieszkania spostrzegłeś młodego, delikatnie zbudowanego człowieka, ujmujących rysów, zatopionego w modlitwie. Na łonie zgrzybiałego starca igrał sobie żwawy chłopczyna. Przy kołysce siedziała piękna niewiasta spoglądająca na niemowlę, uważająca na każde słówko męża w kwiecie wieku, przed którym stał nadobny chłopczyk, którego kapłan pouczał.

,,Spamiętałeś dobrze historyę o dzieciątku Jezus", — rzekł nauczyciel, — to sprawia twemu ojcu i matce wielką radość i dla tego kocha cię też ta boska dziecina. Ale pamiętaj tylko sobie, jaką ta historya zawiera naukę. W ciemnej stajence mieszkał Pan wszego świata, w twardym żłóbku spoczywał, skromne szaty go pokrywały, wiatr i zimno mu dokuczały, ręce ubogiej niewiasty pieściły go, bydlątka były Jego towarzysze a biedni — prości pastuszkowie Jego pierwszymi przyjaciołmi. Tam to uczy cię dzieciątko Jezus, że za tem gonić nie powinieneś, za czem ludzie świata tego gonią, że nie powinieneś pragnąć dworu wyższego Mandaryna, ani pałacu królewskiego, że nie powinieneś pragnąć stąpać po różach, stroić się wykwintnie, nareszcie że nie powinieneś gardzić ubogimi. Jeźli Pan Jezus jako dziecię odmawia sobie wszystkiego i niedostatek cierpi, któżby nie chciał z Nim tak samo czynić?

Jeźli to boskie dzieciątko przed mieczem Heroda uchodzić musiało, jeźli tak wielka liczba niemowląt w Betleem życie dać musiała zostając męczennikami — aniołami; jeźli Zbawiciel jako człowiek także i za ciebie drzewo krzyża swą przenajświętszą krwią zrosił, powiedzże mój synku, czybyś i ty także dla jego miłości nie cierpiał, gdyby o to chodziło?"

,,Rozumie się" — odpowiedział chłopiec stanowczo. Tedy ojciec uściskał go szczerze, matka spoglądała nań miłościwie wzdychając, a w oczu zgrzybiałego starca spostrzegłeś łzy.

A łagodny mąż w tyle mieszkania pocałował księgę, z której się modlił i zamknął ją. Poczem zdjął zasłonę z krzyża, który niewiasta wieńcem ozdobiła i zapalił świece.

Niebawem wszyscy rzucili się na kolana, a Jakób Nam, kapłan anamicki, który w tym domku gościnę i schronienie znalazł przed wściekłym prześladowcą, odprawił kościelne modły, a potem zakończył wieczorne nabożeństwo temi z serca płynącemi sło: ,,Chwała Ci wielki Boże! za błogosławieństwo dnia tego, za światło i za ciepło słoneczne, za pokarm, którym nas hojność Twoja obdarzyła. Dzięki Ci o Boże, za me schronienie od tygrysów, wężów i ludzi im podobnych. Twoja moc niech nam będzie puklerzem tej nocy, a Twoja dobroć naszą silną twierdzą! Weź nas pod Twoję św. opiekę, jak kura swe pisklęta pod skrzydła, strzeż nas, jak matka strzeże śpiące niemowlę. Niech twoi śś. Aniołowie straż mają przy naszem posłaniu; a jeźli jest Twą św. wolą, byśmy wpadli w ręce nieprzyjaciół, którzy na nas już czychają, to niech będzie błogosławione św. Imię Twoje. Udziel nam tylko mocy i męztwa, abyśmy nie byli podobni do trzciny rosnącej na brzegach Menakong'u, którą lada wietrzyk powiewa, byśmy nie byli podobni do kwiatu wodnego na powierzchni Menakog'u, który lekkie poruszenie wody zatapia. O pomóż, pomóż nam stoczyć tę walkę i bądź naszym wodzem!''

W tem usłyszano szczęk broni. ,,Grzechotnika bliskość poznać po łoskocie. Tygrysy tuż przed drzwiami. Odwagi!....... Już słychać szturmujących z daleka........ Nieprzyjaciel się zbliża; idzie oto, aby dowieść, czyśmy wierni wojownicy Chrystusa!'' — Tak mówił Michał Mi, naczelnik z Vin Fri, do którego domku co tylko zajrzeliśmy. Starca oblicze zbladło, żona struchlała, bierze dziecię z kołyski, przyciska silnie do piersi a dwom drugim zarzuca płaszczyki. Kapłan i Michał stanęli jako rycerze gotowi do walki, a dziewięcioletni chłopczyna trzymał się mocno ręki ojca.

II.

Drzwi wyłamano..... hufiec wojowników pod dowództwem Mandaryna wpada, a Mandaryn tak zaczyna:

,,Jesteście jeńcami w imię króla, wbrew którego prawom wyznajecie inną znienawidzoną religią''. — Niech będzie pochwalony Pan, dla którego Imienia cierpieć mamy pohańbienie! — rzekł kapłan, podając ochotnie ręce ku związaniu i bez szemrania pozwolił na się włożyć kajdany.

— ,,Dostąpię dziś wielkiego honoru'' rzekł dalej kapłan — dziś będę podobien memu pojmanemu Zbawicielowi''.

A gdy wojsko starca okuć chciało, rzekł jego zięć Michał:

— ,,Dajcie pokój starcowi—kajdanom, onego już dość sama starość gniecie. Wątłe i skostniałe nogi jego zapewne wam nie uciekną Ręczę za niego. Mnie raczej okujcie w podwójne kajdany, podwójnie okneblujcie; jestem młody, to wytrzymam''.

Starca więc nie okuto. A gdy przyszła kolej na Michała, rzekł tenże:

— ,,Na chwil tylko kilka nie okuwajcie rąk moich, niech się tylko pożegnam, a potem skujcie je na wieki!'' Tedy uściskał żonę mówiąc:

— ,,Okaż się godną chrześciańskiego wojownika! Niech męztwo matki Machabejczyków cię ożywia! Niech męztwo Jezusa Matki pod krzyżem cię krzepi! — Idziem do walki — blizny i śmierć to chluba żołnierza! — Bądź zdrowa!''

— ,,Ten Syn Zbawiciel, co umierając na krzyżu na Matkę spoglądał, ten mnie pokrzepi. Pozostań Bogu twemu wierny. Ja od Niego cię nie odstręczam, ani tchorzostwem sama splamię''. — Tak odpowiedziała godna małżonka, choć trupia bladość pokryła jej lice.

Poczem uściskał Michał swoje czworo dzieci i rzekł wzruszony:



Z czasów prześladowania chrześcian.

Dziewica chrześciańska przeznaczona na pożarcie przez lwy.

— ,,Nie bójcie się moje dziatki! Wasz Ojciec zostaje pod opieką Najwyższego!"

,,Któżby nie chciał cierpieć dla Jezusa?" odpowiedział chłopczyk. — ,,Któżby nie chciał cierpieć z Bolesną Matką?" dodała jedynastoletnia dziewczynka. ,,Ojcze my się nie boim", — mówili oboje.

Teraz podał ręce oprawcom. — Żona Michała rzuca się do nóg ojca, prosząc o błogosławieństwo. Antoni kładąc na głowę jej ręce rzekł uroczyście i rzewnie:

,,Dziecko serca mojego, uciecho dni moich, podporo mojej starości, ty najpiękniejsza perło! błogosławię cię, jak Jakób błogosławił syna swego. Niech najhojniejsze błogosławieństwo Niebios będzie twojem! — Błogosławię Cię, jak Jezus błogosławi dziatki. — Pokój z tobą, pokój z tobą aż do wieczności!" — Żołnierze stali jak wryci w zadumieniu, a w niejednego sercu ozwała się iskierka litości. Mandaryn zaś pozabierał naczynia i przybory święte, na które miał nader bystre oko, oddał je żołnierzom a potem wyprowadzono jeńców a starzec sparł się na ramieniu zięcia. Matka i dziatki patrzali długo, — długo za nimi po drodze pochodniami oświeconej, dopóki tylko w ciemnościach światło widzieć można było.

Wróciwszy do domu, rzucili się do kornej modlitwy wszyscy na kolana. C.d.d.

OD ADMINISTRACYI.

Wszystkich pp. Abonentów, którzy zalegają z prenumeratą, uprasza się o niezwłoczne nadesłanie tejże. Każdy dolar w obecnych ciężkich czasach jest nam bardzo potrzebny. Podwójnie więc będziemy Szan. Abonentom wdzięczni, gdy nam nadeślą to, co się nam sprawiedliwie należy. Zwracamy się szczególniej do tych, którzy za dwa a nawet za trzy lata abonamentu nie zapłacili i prosimy ich raz jeszcze o uregulowanie rachunku.

NIE DAJMY SIĘ!

(Czeskie hasło.)

Franciszka Vrchlickiego.

Nie nasze, lecz dobre to hasło, niech stanie
Nad Wisłą i Bugiem, nad Niemnem i Wartą,
Za program, pobudkę i wiary wyznanie!
Próżności, co kusi — lenistwu, co wabi,
Zwątpieniu, co truje — niezgodzie, co słabi,
Nie damy się przecie. Jednością my zwartą,
Gdy chodzi o byt nasz! wraz wszyscy wołamy:
"Nie damy się! Nigdy.... przenigdy nie damy!"

Choć rozpacz nam szepce: "wy jutra nie macie,
Wy możnych praojców bezdome wnuczęta."
My jednak nie siądziem w cierpień majestacie,
Bezczynnie piać treny nad ojców mogiłą:
Przeszłości nie wskrzesić.... nie wrócić co było,
Żyć, istnieć kto pragnie, niech każdy pamięta,
Że hasłem najświętszem na dzisiaj mieć mamy:
"Nie damy się! Nigdy.... przenigdy nie damy!!"

Ni wiary, ni pieśni, ni serca, ni mowy,
Ni wspomnień przeszłości — ni jutra nadziei
Nie damy! Gdzie święty podwórzec domowy,
Tam wszyscy zastępem staniemy na straży,
Kobiety i dzieci i młodzi i starzy,
I wszyscy wartować będziemy z kolei,
Jak czujne brytany, co strzegą swej bramy:
"Nie damy się nigdy! Wszak prawda?... Nie damy!!!"

Odpowiedź Opatrzności.

Stój! nieodmienne są nieba wyroki,
Co cię wtrąciły w przeznaczenia koło.
A ty przed niemi korne schylaj czoło,
Twe słabe oko nie przejrzy obłoki.

Choć wściekła burza rwie twarde opoki,
A wir cię zdradny pochwyci głęboko,
Czuwa nad tobą Opatrzności oko;
Ono i ocean uśmierzy głęboko.

Ten, co swem słowem utworzył świat cały,
Olbrzymią ręką postawił te skały,
Ten z fal objęcia wydrzeć cię wydoła,

Choć głos rozpaczy o pomoc nie woła.
W Nim tylko całą pokładaj nadzieję,
On rosę niebios na ciebie wyleje.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON

W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

VII.

Pobyt Janka u dzikich ludzi — Palma Wysmukła i Bystry Sokół. — Biały Jelonek. — Upojone ryby. — Przyrządzanie manioku. — Wspaniała wodna roślina.

Mijały dni jeden po drugim, mijały całe tygodnie, już nasz Janek obliczyć nawet nie mógł, jak długo przebywał u tych dzikich ludzi; nic nie zmieniało się w jego życiu; traktowano go bardzo dobrze i byłby nawet dosyć szczęśliwy, gdyby miał nadzieję odzyskania utraconych rodziców.

Z początku chłopczyna tęsknił niezmiernie, płakał nawet często, gdy sam pozostał w chatce, a ile razy Indyanka na to nadeszła, starała się wszelkiemi spcsobami zabawić go i rozèrwać, w końcu zwykle chwytała go na ręce, jak małe dziecko, śpiewała mu jakieś piosenki głosem przeciągłym i jednostajnym, jak gdyby go chciała ukoić i do snu ukołysać.

Janek zaczynał już nawet rozumieć mowę tej kobiety, nauczył się i sam wielu wyrazów z jej dziwacznego języka, z czasem przyszło do tego, że naprawdę z sobą rozmawiali i wtenczas chłopczyk uspokoił się powoli i prawie się oswoił z dziwnem swojem położeniem. Dowiedział się także, dla czego ci dzicy ludzie odrazu go pokochali i zatrzymali przy sobie.

Oni mieli synka w jego wieku i ten niedawno umarł, chcieli więc, ażeby Janek im to ukochane dziecko zastąpił. Indyanie amerykańscy mają zwyczaj przybierania sobie imion rozmaitych zwierząt i roślin. Opiekunka Janka nazywała się Palma wysmukła, a mąż jej Bystry Sokół. Synek ich otrzymał nazwę Zwinnego Jelonka, wyborńie już umiał strzelać z łuku, wesół był i zręczny, we wszystkiem matce pomagał. Indyanka nieustannie opowiadała o nim Jankowi, jak tylko spostrzegła, że ją rozumieć zaczął, jego zaś, jako przybranego swojego synka, przezwała Białym Jelonkiem.

Bystry Sokół okazywał mu także wiele czułości, ile razy był w domu, uczył go strzelać z łuku, ryby łowić, brał go czasem z sobą do łódki i dawał mu wiosło do ręki, a Janek coraz więcej wprawy i zręczności nabierał w tych ćwiczeniach. Z powierzchowności wyglądał już teraz zupelnie, jak dziki człowieczek, bo Indyanka wysmarowała go całego od stóp do głowy jakąś czerwoną farbą, włosy znów na czarno mu umalowała, stroiła go w naszyjniki z błyskotek i piórka jaskrawe. Zdrów był zupełnie, bo też na niczem mu tu nie zbywało, jedzenia miał podostatkiem. Bystry Sokół przynosił zawsze mnóstwo zwierzyny, świnki dzikie, które nazywał Pekari, małe jelenie, czyli kozły, zwane kariaku, a często także i małpy. Palma Wysmukła przyrządzała z tego mięsa wyborne pieczenie, a resztę wędziła nad ogniskiem, ażeby się nie popsuło, zawsze też miała obfitość tej wędliny i wieszała ją w chacie pod pułapem. Janek odwracał się ze wstrętem, ile razy małpka ze skóry odarta piekła się na ogniu, bo mu się

zawsze wyobrażało, że to dziecko i że on jest między ludożercami.

Często także i mąż i żona łowili ryby w sieci, wyplatane z włókien palmowych. Janek miał małą wędkę i także umiał już rybkę złapać. Pewnego dnia zrana Bystry Sokół przyszedł i powiedział żonie, że się wybiera na daleką wycieczkę z kilku towarzyszami, musi więc nałowić odrazu dużo ryb, żeby Palmie Wysmukłej i Białemu Jelonkowi nie zabrakło pokarmu w czasie nieobecności. Indyanka skinęła głową, na znak, że rozumie, o co idzie, wzięła na plecy dużą sieć i rzekła z uśmiechem do Janka, który już teraz wybornie jej mowę rozumiał.

— Biały Jelonek zobaczy, jak Bystry Sokół upoi ryby w rzece. Gdy wszystkie dobrze się upiją, przyjdą same do sieci i będzie dużo, dużo ryb.

Janek ciekawy był bardzo, jak to można upoić ryby w rzece, nigdy jeszcze o tem nie słyszał. Indyanin szedł naprzód, zapuścił się w głąb lasu i stanął wkrótce przy drzewie okrytem drobnemi żółtemi kwiatkami. Drzewo to i z liści i z kwiatów, podobne było do akacyi.

— Niku! niku!—wołała Palma Wysmukła, wskazując na to drzewo — ryby na śmierć się spiją, tak samo, jak ludzie spijają się wodą ognistą.

Dzicy ludzie nazywają wodą ognistą gorzałkę i inne upajające trunki. Indyanin miał nóż przy sobie, naciął ogromny pęk gałęzi tej akacyi, związał go giętką łodygą jakiejś wijącej się rośliny, włożył na plecy i poszedł prosto do rzeki. Wybrał miejsoe, gdzie woda była najspokojniejsza, prawie stojąca, przykląkł u brzegu, położył swój ciężar na dużym kamieniu, wziął w rękę duży kij i zaczął uderzać z całej siły o gałęzie tak zupełnie, jak gdyby młócil snop zboża. Rozbił je wkrótce na miazgę i Janek spostrzegl, że z gałęzi zmiażdżonych ściekać zaczął biały, mleczny sok. Indyanin skrapiał wodą gałęzie i tłukł je ciągle z całej siły, nakoniec wrzucił cały pęk z ociekającą białą cieczą do rzeki. Gałęzie rozpłynęły się, a woda pobielała dokoła, jak gdyby kto dolał do niej mleka.

Palma Wysmukła zaśmiała się głośno, usiadła na brzegu i Jankowi kazała usiąść przy sobie, wskazując na wodę i powtarzając.

— Niku nie takie dobre, jak woda ognista; ryby tego nie lubią, ale muszą pić, bo Bystry Sokół im każe i popiją się, popiją.

I wkrótce w rzeczy samej osobliwszy widok przedstawił się oczom Janka. Ryby większe i mniejsze wypływały na powierzchnią wody i kołysały się na falach tak zupełnie, jakby były martwe. Gdy upłynęło z pół godziny, cała przestrzeń, gdzie tylko woda była zabielona, pokryła się mnóstwem ryb, unoszących się, jak kłody drewniane na cichych falach rzeki. Wówczas Bystry Sokół odwiązał swoję łódkę, zabrał sieć z sobą i płynąc zwolna pomiędzy rybami, wyławiał je zręcznie siecią. A tyle tego było, że łódka napełniła się prawie po brzegi.

Ryby jednak nie były martwe, tylko odurzone; mleczny sok owej akacyi posiada tę własność i często przez Indyan w Guyanie używany jest do połowu ryb. Palma Wysmukła miała dnia tego dużo roboty, zanim wszystkie te ryby pooporządzała; parę z nich upiekła zaraz na ogniu i dała do zjedzenia mężowi i Jankowi, resztę wędziła nad ogniskiem i suszyła na słońcu.

Bystry Sokół zabrał łuk i strzały, duży nóż myśliwski i odpłynął łódką w towarzystwie kilku innych Indyan na daleką wycieczkę. Janek został sam z Palmą Wysmukłą. Unikał on zawsze spotkania z innymi dzikimi, z dziećmi nie chciał nigdy się bawić, ale opiekunkę swoję, Palmę Wysmukłą, polubił już nawet biedny, opuszczony chłopczyna.

Codziennie zrana chodzili do lasu na mleko, które lepiej od innych pokarmów smakowało Jankowi. A nie wyobrażajcie sobie, że wam opowiadamy zmyśloną jakąś bajkę o mleku drzewnem. Takie drzewa rosną naprawdę w lasach gorącej południowej Ameryki, osadnicy europejscy nazywają je drzewami krowiemi. Palma Wysmukła zabierała zwykle trochę mleka do domu, stawiała je z naczyniem na ławce, przykrywała liśćmi, aby mróki się do niego nie dobrały, a gdy trochę postało, mleko to zsiadało się, jak twaróg i można je było krajać nożem, Janek i twarożek ten z wielkim smakiem zajadał.

Palma Wysmukła sama przyrządzała bardzo zręcznie mąkę z manioku, a Janek przypatrywał się z wielkiem zajęciem tej robocie, ale musiał stać z daleka, Indyanka nie pozwalała mu się przybliżać, chłopczyk domyślał się dlaczego, pamiętał, jak ojciec mówił mu kiedyś, że sok manioku jest gwałtowną trucizną. Najpierw więc Palma Wysmukła rozdrabiała korzenie manioku, miała do tego przyrząd drewniany, ząbkowany, zupełnie jak piła, potem tę miazgę napychała w rodzaj worka z mocnej siatki, wyplecionej z włókien roślinnych. Worek ten, długi a wązki, miał kształt ogromnej kiszki, gdy był napełniony miazgą z manioku. Indyanka wieszała tę kiszkę od strony otworu na mocnej gałęzi drzewa, a do dna, przy którem była pętla z mocnego sznura, wieszała ciężki kamień. Siatka wówczas naciągała się, naprężała, a z miazgi, ściśniętej mocno tym sposobem, wyciekał sok mleczny strumieniem. Gdy już wszystko wyciekło, Palma Wysmukła dosuszała maniok na słońcu, albo przy ogniu, później zeschłą zupełnie massę tłukła w dużym drewnianym moździerzu i przesiewała mąkę przez sito, z włókien jakichś wyplecione, tak samo, jak siatka.

Z mąki tej Indyanka przyrządzała coś nakształt prażuchy, dolewając do niej wody i potrawę tę nazywała kuak; piekła z niej także placuszki, które Janek bardzo lubił; te się nazywały kasawa.

Dnia pewnego Palma Wysmukła kazała Jankowi wziąć łuk i strzały, sama zabrała z sobą parę dużych naczyń glinianych i poszli oboje do lasu. Szli długo, zapuścili się w głąb lasu, dalej niż zwykle, napili się po drodze mleka z drzewa krowiego; Janek schrupał parę placuszków, które miała przy sobie Indyanka; nie zapytał on nawet, gdzie idą i po co, bo już nawykł był do takich wycieczek po lesie. Czasem Palma Wysmukła zbierała jakieś owoce, to znów obrywała torebki nasienne na krzakach dziko rosnącej bawełny, wydobywała miękki, biały puszek, a potem przędła z niego nici i wyrabiała tkaniny na ubranie dla siebie i męża. Nie dużo na to wychodziło materyału, bo cały strój dzikich, tak mężczyzn, jak kobiet, składa się z wązkiej przepaski, na biodrach związanej. I nasz biedny Janek musiał się do takiego ubioru przyzwyczaić.

Szedł więc chłopczyk dość obojętnie za swoją opiekunką, gdy w tem, wydostawszy się z gąszczów leśnych na miejsce odsłonięte, stanął nagle jak wryty i aż wykrzyknął z podziwu i zachwycenia. Zdało mu się, że to jakieś czary, przecierał oczy, probując, czy to nie sen taki cudowny. Nigdy w życiu nic podobnego nie widział, nawet w żadnej bajce nie słyszał o takich ślicznościach. Niewielki strumień, płynący wśród lasu, w tem miejscu rozlewał się szeroko, tworzył duże jezioro. Woda w niem była tak spokojna, nieruchoma, jakby drzemała pośród leśnej ciszy. Na powierzchni tych wód drzemiących rozkładały się liście olbrzymiej wielkości i kwiaty, z kształtu i barwy do róży podobne, ale tak ogromne, że każdym płatkiem oderwanym z korony, możnaby było Janka całego przykryć od stóp do głowy.

— Yrupe, yrupe! — wołała Indyanka, śmiejąc się z podziwienia Janka. Tak nazywają mieszkańcy Gujany tę wspaniałą roślinę wodną. Botanicy przezwali ją królową Wiktoryą.

Janek napatrzeć się nie mógł na to dziwo; niektóre kwiaty były ciemnoróżowe, prawie purpurowe, inne blade, jakby róże przekwitłe, a pachniały prześlicznie, jak wanilia. Liście okrągłe, zagięte u brzegów, wyglądały jakby talerze, porozkładane dla jakichś olbrzymów. Duże ptaki wodne, podobne do czapli przechadzały się po tych liściach wygodnie, jak po podłodze.

Palma Wysmukła weszła w płytką wodę, i długim kijem zakrzywionym przyciągała torebki nasienne tej wspaniałej wodnej rośliny, wydobywała z nich ziarna i zsypywała do przyniesionych naczyń, tłomacząc Jankowi, że je ugotuje na wieczerzę i będą mieli smaczną bardzo potrawę.

Ciąg dalszy nastąpi.

Przesłańcy śmierci.

Był pewien szlachetny młodzieniec, który zrazu pogardzał ziemskiemi rzeczami, o wieczne zaś z całą pilnością starać się począł. Osobliwie bał się nagłej i niespodziewanej śmierci, aby go taż nie zastała nieprzygotowanego. Dla tego modli się i wzdycha nieustannie i o tę jedynie łaskę prosił, aby go Bóg przed śmiercią upomniał, iżby się godnie mógł przysposobić.

Bóg wysłuchuje tej modlitwy młodzieńca i posyła mu w widomej postaci jego Anioła-Stróża. Ten go zapewnia, że nie pierwej umrze, aż przynajmniej na trzy dni przed śmiercią trzej. posłańcy śmierci nie przyjdą.

Tak pocieszony, zamiast Bogu tem gorliwiej służyć, nadużył tej wielkiej łaski, rzucił się w wir świata i wpadł wkrótce w najhaniebniejsze występki. Nie skutkowały napomnienia ani rodziców, ani przełożonych, ani przyjaciół. On zawsze odpowiadał: „Nawrócę się, nim umrę".

Razu jednego wyjechał do odległej wioski; w drodze napadli go zbójcy i tak nań gołemi mieczami natarli, że będąc w oczywistem niebezpieczeństwie śmierci i ciężko raniony, spiął ostrogami konia i zaledwie z życiem uszedł.

Skoro się rany jego zabliźniły, wsiadł ów nieroztropny młodzian na okręt, chcąc doświadczyć przyjemności podróży morskiej. Nagle zrywa się burza — fale się piętrzą — okręt jak piłka tam i tu miotany falami! Wszyscy podróżni uważają to za niebezpieczeństwo śmierci! wznoszą oczy i ręce ku niebu i błagają Boga o przebaczenie grzechów, obiecując szczerą poprawę. Tylko ów młodzian, acz nieco pobladł, lecz niepomny na swe zbawienie, ani pomyślał o żalu i poprawie życia. Tymczasem burza ustała — a wszyscy zostali ocaleni.

Niedługo potem dostał ów młodzian nieznośnego bólu głowy; wkrótce przyłączyła się silna gorączka, która go w krótkim czasie tak wyniszczyła, że wyglądał blady jak trup i wszyscy sądzili, że już śmierć bliska. Lekarze, rodzice i kapłan mówią mu, że niebezpieczeństwo jest groźne, napominają go i proszą ze łzami, aby pamiętał o swojem zbawieniu i gotował się na śmierć, co już za plecami stoi. On jednak zawsze odpowiada, że z tej choroby nie umrze. „Czekam jeszcze na przesłańca śmierci!"

Nagle staje przed nim Anioł Stróż i mówi:

— Przynajmniej teraz się popraw, bo tylko kilka chwil życia ci pozostaje!

Skoro ujrzał i wysłuchał słów Anioła, począł temu czynić wyrzuty, że mu słowa nie dotrzymał, gdyż mu przynajmniej trzy dni przed śmiercią miał dać znać o niej.

Anioł zaś z wszelką łagodnością rzekł:

— Ja wiernie dotrzymałem mego przyrzeczenia i wcześniem cię upomniał o niechybnej śmierci: najprzód wtenczas, gdyś wpadł między zbójców i w oczywistem niebezpieczeństwie życia zostawałeś, powtóre gdyś był na morzu; a wreszcie, gdyś wpadl w tę chorobę. Jam podał myśl lekarzom, by ci oznajmili bliską śmierć; ja rodziców natchnąłem, by cię upomnieli; ja nakłoniłem kapłana, by cię do nawrócenia namawiał — a tyś tem wszystkiem pogardził! A teraz się jeszcze uskarżasz, jak gdybym cię nie był aż nadto ostrzegał.

Anioł wyrzekłszy to, znikł. Młodzian zaś opowiedział to przytomnym — a jednak chciał mieć słuszność. I skonał, nienawrócony.

Obyśmy lepiej, jak on, uważali na przesłańców śmierci!

ANUSIA I WRÓBELEK.

— Ach! ty wróblu! znów tu siadasz
I wisienki z drzewa zjadasz?
Jaki śmiały! ani pyta,
Zjadł już jedną, drugą chwyta.
A sio! a sio! precz szkodniku!
Widzę ja cię tam w kąciku,
Usłuchać mnie nie masz chęci,
Bo cię smaczny owoc nęci.
Ty łakomcze! wstydź się tego!
Nie lubię cię, nic dobrego!
Raz już odleć z tego drzewa!
Strasznie się Anusia gniewa
A wróbelek kręci główką,
Rozważając każde słówko.
Wreszcie powie:
— Oj! panienko,
Widziałem ja przez okienko,
Jak i ty dziś z talerzyka
Brałaś wiśnie do kącika,
I zjadałaś pokryjomu.
Lecz nie powiem nic nikomu,
Bo oskarżać nie wypada.
Łakomstwo szkaradna wada!
Anusia, słuchając ptaka
Ze wstydu aż spiekła raka,
W ducha zaś powtarza sobie:
— Nigdy już tego nie zrobię.

Nawróceni Japończycy.

W wieku szesnastym nawrócił św. Franciszek Ksawery Japończyków do wiary św. Naoczny świadek cnót nowonawróconych chrześcian, tak ich przedstawia:

„Gorliwość ich jest tak wielka, że wszelkie cnoty, niejako stale wśród nich zamieszkały; a jednak niezadowoleni tem, ustawicznie uskarżają się na oziębłość swą w służbie Bożej, sądząc, że nazwy chrześcian są niegodnymi. Delikatność ich sumienia tak jest wielką, że gdy którykolwiek z nich, popadł w mały grzech, ledwo uspokoić go było można, tak swe uchybienie opłakiwał. Duch pokuty tak się u nich rozwinął, że z całą surowością musieli przeciw temu występować misyonarze, obawiając się, by przez częste a wielkie umartwienia nie postradali zupełnie zdrowia.

Nie ma w Europie zakonu tak pokutniczego, któryby nie musiał ustąpić przed duchem pokuty tych nowonawróconych chrześcian. Gdy się modlą, mniemałbyś, że widzisz przed sobą samych Świętych. Od czasu, gdy tych chrześcian gorliwość poznałem, zdaje mi się, że sam chrześcianem być przestałem.“

Nieomylny środek przeciw piekłu,

wyjęty z kroniki z XV. wieku: Weź 5 łutów pokoju, 10 łutów cierpliwości, 15 łutów wstrzemięźliwości, 20 łutów czystości, 30 łutów szczodrości i 120 łutów pokory. To wszystko dobrze utłucz w moździerzu wiary, tłuczkiem siły, dolej do tego kwaterkę nadziei, usmaż to na patelni sprawiedliwości, na ogniu miłości chrześciańskiej, zmięszaj to pobożną modlitwą, a ustaw do spiżarni stałości, aby się ta masa nie pokryła pleśnią ludzkich znikomości. Tą maścią posmaruj się codzień rano i wieczorem, a pomoże ci to najskuteczniej przeciwko piekłu.